

Irena Nyczaj

Tacy sami...

Mam na imię Jan.

Za ścianą mojego rodzinnego domu mieszka człowiek, którego nienawidzę najbardziej na świecie – Piotr, mój bliźniak.

Ludzie odkąd pamiętam mówili:

– Ale jesteście podobni!

– Jak dwie krople wody.

– Jak dwie połówki jabłka.

– Jak...

Nie chciałem słuchać. Co ludziom do tego, co oni mogą wiedzieć.

Często dodawali:

– Wy to się musicie kochać! Wspaniale mieć takiego brata.

Czasem ktoś z młodzieży rzucał:

– Takiego klona!

Nienawidziłem brata od zawsze. Za to, że był nieustannie obok mnie. Klon.

Zauważyłem, że nosi takie same ubranka. Któregoś razu mama zmartwiona spostrzegła:

– Popatrz, Krysiu (to starsza siostra), jaka dziura w spodenkach Janeczka. I w bluzeczce! Co to się stało? Trzeba zacerować.

– Nie opłaca się, mam. Wyrzuć.

– To w co go ubiorę?

– Jak to? Chyba ma jakieś inne rzeczy.

– Ale trzeba tak samo, jak Piotrusia...

– Niekoniecznie. Nie muszą identycznie wyglądać.

– Oj, Krysiu. To przecież bliźniaki.

– I co z tego? Może nawet lepiej, żeby ich odróżniały chociaż ubrania?

Mama się zafrasowała. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

Nie było trudno doprowadzić mojego brata do płaczu. Miałem mnóstwo pomysłów, które wprowadzone w czyn owocowały rykiem klona i pospieszoną interwencją siostry lub mamy.

– Oj, Janeczku, dlaczego dokuczysz Piotrusiowi?! Popatrz, płacze przez ciebie.

Właśnie. Ale przecież nigdy go nie uderzyłem. Doszedłem do perfekcji w dręczeniu brata. Widziałem strach w jego błękitnych okrągłych oczach. W takich samych moich lęku nie było.

Odwracał wzrok.

Kiedy zachorował pierwszy raz, mama powiedziała:

– Popatrzcie. Są tacy sami, a tacy inni! Janeczka to okaz zdrowia, a Piotruś...

Wrócił ze szpitala odmieniony. Unikał mnie, był milczący, obcy. Jego twarz zroszona kropelkami potu odbijała się w moich oczach. I wtedy odwracałem wzrok.

Kiedyś wyciągnął rękę, aby pogłaskać psa. Mojego psa wilczura.

– Nie dotykaj! Nie patrz na niego! I nie mów nic, nie wołaj go! – Zacisnąłem pięści.

Brat patrzył na mnie, a jego niebieskie oczy pociemniały.

Po kolejnym ataku choroby trzeba było wysłać Piotra do sanatorium w górach. Musiał zmienić klimat. Odetchnąłem.

Nie opowiem całego swojego życia, bo i po co.

Weszliśmy w dorosłość oddzielnie. On chorowity, ciągle „słabował na płuca”, jak mówiła babcia, ustawicznie leczony, hospitalizowany, rehabilitowany.

Nie współczułem mu. Zajął mnie wreszcie moje własne życie. Życie bez klona. Gdy wracał z kolejnych pobytów w lecznicach, cała rodzina żyła jego zdrowiem, a raczej brakiem tegoż. Wprawdzie babcia pocieszała mamę, że z tego wyrośnie, ale chyba żadna z nich w to nie wierzyła. Był już dorosły, chociaż jeszcze bardzo młody. Było oczywiste, że Piotr nie będzie studiował i nie ożeni się pewnie nigdy. „Chociaż, kto wie, mówili zatroskani krewni i znajomi, nigdy nic nie wiadomo”.

Ożenił się niespodziewanie.

Pewnego razu przywiózł i przedstawił rodzinie miłą dziewczynę poznaną w sanatorium.

Po roku doczekali się córki, a wkrótce potem chłopców bliźniaków.

Dzietki rosły i rozwijały się wspaniale. Mój brat promieniał szczęściem.

Dziewczynka nie interesowała mnie zupełnie, a chłopcy... Przepadali za sobą, byli identyczni i nierozłączni. I zawsze ubrani inaczej. Moja matka, a ich babcia kiedyś zagadnęła synową:

– Czemu nie ubierzesz ich tak samo? Przecież to bliźniaki.

– Piotr nie chce. Wręcz mi zabrania. Bardzo tego pilnuje.

Moja matka nie mogła się nadziwić. Nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić.

Nie miałem jakoś szczęścia do kobiet. Wszyscy uważali, że jestem piekielnie inteligentny. Skończyłem z wyróżnieniem studia na politechnice, dostałem dobre płatną pracę. Byłem duszą towarzystwa, sypałem jak z rękawa dowcipami, czarowałem dziewczyny, które zmieniałem jak rękawiczki. Żadnej jednak nie udało się usidlić mnie na dłużej, choć próbowały. Do żadnej nie czułem nic więcej, niż pożądanie, które po krótkim czasie, spełnione, wygasało szybko jak jesiennie ognisko na ugorze pod lasem.

Kiedy zerwałem z kolejną narzeczoną, mama powiedziała:

– Popatrzcie, są tacy sami, a tacy inni! Piotruś to samo szczęście i sukces, a Janeczka...

Piotr był zupełnie odmieniony. O chorobie dawno zapomniał. Rozkwitał. W ich połowie domu rozbrzmiewały radosne głosy dzieci. I muzyka. Oboje z żoną, choć niewy-

uczeni, pięknie śpiewali, trzeba przyznać. I grali – też amatorsko – ona na skrzypcach, on na pianinie. Dzieci wtórowały im jak mogły. Babcia promieniała.

– Popatrz, Krysiu, jak się kochają nasze maluchy!

To była prawda. Chłopcy nie rozstawiali się ani na chwilę. Prawdziwe klony. Razem się bawili, razem jedli i spali. Byli identyczni. Piotr mawiał:

– Popatrz, Krysiu, jak się kochają nasze maluchy!

– Nie, tato – chłopczyk chichotał radośnie, nie podejrzewając ojcowego psikus – jestem Janeczka.

– A, Janeczka. To wspaniale! Kocham cię, Janeczku.

– A mnie, a mnie? – wołał drugi.

– Ciebie też, ciebie też. Kocham was obu bardzo! – I tulił w objęciach te dwa swoje szczęścia.

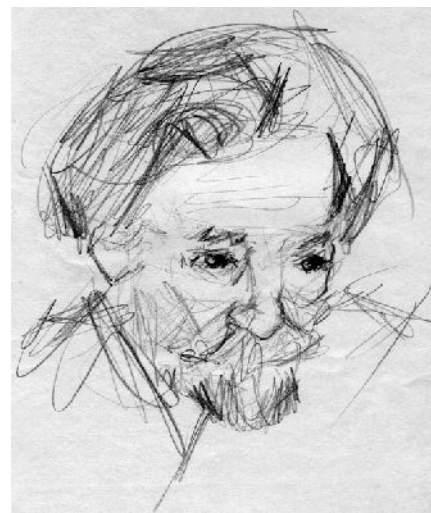
Janeczka... Dzieciak o moim imieniu. Z moimi okrągłymi niebieskimi oczkami. Mały drań.

Nie, nieprawda. To prześlizchny aniołek, miły i delikatny. Taki sam jak jego brat klon.

Patrzyłem na nich jak urzeczony. Doskonali. Cudni.

Mój klon całkowicie wyzdrowiał, a zacząłem chorować ja. Może dlatego, że paliłem jak smok, podupałem mocno na zdrowiu. Lekarze coś dostrzegli w moich płucach. Stwierdzono, że to nieoperacyjny guz. Dobrze chociaż, że mama, nie dowiedziawszy się strasznej diagnozy, odeszła do lepszego świata, gdzie zapewne spotkała się ze swoją matką – naszą babcią. I patrzą teraz obie, zatroskane, na nasz wspólny, podzielony dom.

Za ścianą rodzinnego domu mieszka człowiek... lepszy.



Rys. Barbara Medajska